

DUKAJ



CZARNE OCEANY



JACEK
DUKAJ

CZARNE
OCEANY

WYDAWNICTWO LITERACKIE

© Copyright by Jacek Dukaj
© Copyright by Wydawnictwo Literackie, Kraków 2008

Wydanie drugie, przejrane przez Autora, bez znaczących zmian w treści.
Tekst oparto na wydaniu: Jacek Dukaj, *Czarne oceany*, Warszawa 2001.

Redaktor serii
Anita Kasperek

Korekta
Anna Rudnicka, Etelka Kamocki, Urszula Srokosz-Martiuk, Sylwia Frołow

Ilustracja na okładce
Michał Dziekan

Projekt okładki i stron tytułowych
Tomasz Bagiński

Redakcja techniczna
Bożena Korbut

Printed in Poland
Wydawnictwo Literackie Sp. z o.o., 2010
ul. Długa 1, 31-147 Kraków
bezpłatna linia telefoniczna: 0 800 42 10 40
księgarnia internetowa: www.wydawnictwoliterackie.pl
e-mail: księgarnia@wydawnictwoliterackie.pl
fax: (+48-12) 430 00 96
tel.: (+48-12) 619 27 70
Skład i łamanie: Scriptorium „TEXTURA”
Druk i oprawa: Łódzka Drukarnia Dzielowa

ISBN 978-83-08-04253-3

SPIS TREŚCI

I

- | | |
|-----|---------------------------|
| 7 | 1. Z kraju i ze świata |
| 21 | 2. Nicholas Hunt |
| 44 | 3. Czerni |
| 74 | 4. Pająk nocą |
| 98 | 5. Uwolnienie |
| 124 | 6. Wojny |
| 150 | 7. Pod obcymi sztandarami |

II

- | | |
|-----|----------------------|
| 177 | 8. Kolekcjoner pytań |
| 195 | 9. Śmierć w stolicy |
| 219 | 10. Wrota piekieł |
| 252 | 11. Rozszczepienie |

III

- | | |
|-----|---------------------------|
| 271 | 12. Monday, bloody Monday |
| 296 | 13. Skażony |
| 316 | 14. Tłum na ulicach |
| 346 | 15. Underground |
| 371 | 16. Necropolis |
| 438 | 17. KSTP |

IV

- | | |
|-----|----------------|
| 455 | 18. Na oceanie |
|-----|----------------|

I

1.

Z KRAJU I ZE ŚWIATA

Nad wszystkim stały Alpy, wielkie, zimne, milczące. Chodzący po terenie posiadłości policjanci co jakiś czas oglądali się na nie, bo kontrast był zbyt potworny. Pierwsze ciała znaleźli nad strumieniem. Pięć osób uklekło na brzegu, w równym szeregu, pochyliło się nisko, jakby próbując w ten sposób sięgnąć ustami wody, i wtedy ktoś odstrzelił im głowy. Strzelano z tyłu, w potylice, prawie pionowo, z pump-gunu. Policję zawiadomili wczasowicze z domku poniżej, gdy spostrzegli płynące strumieniem strzępy mózgu, podskakującą na falach gałkę oczną. Posiadłość figurowała w rejestrze sekt i policja zjawiała się od razu w wielkiej sile, ściągając z miejsca dwie ekipy do skanu A-V. Obchodzili teraz pastwiska, sprawdzali wnętrze i okolicę drewnianej willi. Na werandzie stało wielkie blaszane wiadro pełne odciętych palców. Opróżniwszy je, znaleźli na dnie czyjaś głowę. Do tej pory nie natrafili na pasującą doń resztę ciała. W piwnicy znajdowało się dwanaście bezpalcych zwłok dzieci, w tym niemowlęta. Kevorkianki iniekcyjne, orzekł wstępnie koroner. Na piętrze mieściła się świątynia. Długie, żółtobrazowe węże jelit zwieszały się ciężkimi girlandami z żyrandola, stromymi łukami biegingy pod sufitem do mebli, okien i futryny drzwi — anatomiczny gotyk. Policjanci wchodzili tu pod parasolami, krew wciąż kapiała — nieustanne pak-pak-pak-pak-pak o monopłótno umbrelli. Guru, a on był ostatni, siedział w pozycji lotosu na tatami pod samym żyrandolem. Utrzymywał go pośmiertnie w tej pozycji fidiasz w końskiej dawce. Guru (który miał czterdzieści siedem lat i, zanim doznał objawienia, był pisarzem science fiction) sam sobie wydłubał oczy i poobcinał palce nożem wi-bracyjnym umieszczonym w imadlanej obejmie. Gdy otworzono drzwi do pomieszczenia, włączyły się głośniki i popłynął z nich jego głęboki, charyzmatyczny głos, recytujący spisana przez niego samego Księgę Nie-ciała: „Jako na ducha, tak i na materię. Ciało to więzienie, ciało

to kamień formy, maska i bielmo na oczach. Po nim, jak po schodach, wespnieź się do nieśmiertelności”. Chwilę trwało, zanim znaleziono wszystkie głośniki i wyłączono je. Tymczasem guru mówił: „Słuchajcie, słuchajcie, słuchajcie: zarażam was”. Policjanci poruszali się pośród owego horroru powoli, ostrożnie, zważając na każdy krok, zawsze puszczając przodem wślepionych na zapis skanerów. Wchodziło się do wnętrza tego domu jak do kesonu o niskiej zawartości tlenu — po kilku minutach trzeba było wyjść z powrotem na zewnątrz, popatrzeć na Alpy, zapalić papierosa, nawet nikotynowca (tu, w Szwajcarii, wciąż były one legalne). Inaczej umysł zapadał się w bagno dzikich skojarzeń, zaciągały się nad nim chmury depresji, duszność i mdłości dopadały człowieka. Stali więc pod werandą, oddychali górskim powietrzem i wymieniali półgłosem uwagi. — Jaty jak u Barkera. — Popierdoleńce cholerne. — Ja się poddaję, w ogóle już nie próbuję tego zrozumieć. — Co za chory umysł...? — A powystrzelać ich wszystkich. — Przecież widzisz, sami się strzelają.

Biel śniegu Alp paliła ich w oczy, mrugali, gdy wzbierały w nich piekące łzy.

W nocy wygląda to jak pożar w lunaparku. Przez okno schodzącego do lądowania samolotu (lot nr 4582 z Atlanty, druga przesiadka) Czariny patrzył na Nowy Jork pod fosforyzującą kołdrą miasta sterowców, rozkołysanego lekko od nadatlantyckiego wiatru. Blask gigantycznych reklam i światła apartamentów podwieszonych pod zakotwiczone na szklanych linach wieloryby gorącego powietrza — wyznaczały w naniebnym rzucie mapę dobrobytu. Było to koło w okręgu: wysokie luksusy centrum otoczone strefą luksusów zeszłowiecznych, otoczoną nieskończonymi przedmieściami. Kiedy nad nimi przelatywali, widział zimne refleksy światła w niezliczonych przydomowych basenach.

W oddali błyskały szerokopasmowe lasery klasycznych holografii reklamowych, z tej odległości, a zwłaszcza pod tym kątem — zupełnie nieczytelnych. Po zestawieniach kolorów można było jednak wnioskować o przynależności logo.

Samolot schodził do La Guardii po jakiejś przedziwnej spirali, coraz to inna część metropolii płonęła jasnymi kolorami za iluminatorem. Zimna rozpacz zalewała umysł Czarnego, choć odwracał głowę

od ekranów widokowych. Tam ludzie, miliony ludzi. Utonę. Tsunami czerni. Kto uratuje, gdy samotny w tysięcznym tłumie. Jezu Chryste.

Pasażerka z żeńskiego przedziału onanizowała się w myślach, biznesmen z fotela na przodzie upokarzał się wspomnieniem pogardy szefa, niemowlę w ramionach matki śniło o analnych rozkoszach, matka zaś z zimną nienawiścią do samej siebie wyrzucała sobie słabą wolę, która nie pozwoliła wówczas jej dłoni opaść na TERMINATE inkuba; a steward marzył o ataku terrorystów, krwi pasażerów na suficie.

Czarny z trudem powstrzymywał szloch. Kogoś musiał tu boleć żołądek, bo Czarnego aż skręcało, kulił się mimo pasów. Próbował się skupić na celu, na konieczności — ale oni wszyscy też mieli ojców i obraz się rozmywał, miłość, nienawiść i obojętność odkształcały wspomnienia, również te nadmiarowe. Steward się zaniepokoił, już chciał podejść, zapytać — więc Czarny się wyprostował, wygładził twarz.

Gdy wylądowali, odczekał, aż wszyscy wyjdą i wstał na końcu. Biały rękaw był jak pępowina łącząca kadłub maszyny z Tłumem-matką. Szedł naprzód, śmiertelnie przerażony. Buchało mu w twarz gęstą czernią. Spojrzał na bilet, by przypomnieć sobie swe nazwisko; zaraz zgubił myśl o przyczynie spojrzenia. Kilkakrotnie przystawał. Potwornie bolały go nogi. Za bramką naszała go urzędnicza frustracja, nakrzyczał na celnika w zapożyczonym języku. W sumie był tak zdeorientowany i ogłuszony, że nie miałby szans z największymi partaczami.

A oni — oni wypracowali już przecież optymalną pod względem bezpieczeństwa procedurę i podeszli z wielką ostrożnością. Gdy Czarny odebrał bagaż i ruszył ku wyjściu, usadowiony na galerii po drugiej stronie sali snajper otrzymał przez telefon ukryty w małżowinie usznej opis i położenie celu, do tej pory nie miał bowiem zielonego pojęcia, o kogo chodzi.

Poinstruowano go, że ma oddać strzał najpóźniej w pięć sekund. Oddał w cztery.

Zatruta igła trafiła Czarnego w kark. Odruchowo poruszył barkami. Obejrzał się zdziwiony.

Siedmiu innych mężczyzn, wmieszanych w tłum podróżnych, odebrało teraz swoje rozkazy — identyczną drogą co snajper, tak samo zwięźle. Zlokalizowawszy obiekt, ruszyli ku niemu biegiem. Czarny już

giął się w kolanach. Złapali go pod ramiona, otoczyli pierścieniem ciał. Siódmy podniósł upuszczony bagaż.

Na ulicy czekały limuzyny. Nieprzytomny Czarny załadowany został do drugiej.

Siedzący obok kierowcy łysy fenoazjata podał swemu telefonowi hasło numeru.

— Powiedźcie Huntowi, że wszystko okay — rzekł. — Niech szykują wahadłowiec.

Spadało tętno, ruchy gałek ocznych sugerowały fazę REM — choć przecież Numer nie spał. Dyżurny lekarz nadzorujący polecił kompowi wstrzyknąć stymulującą dawkę hormonów. Delikwent po iniekcji zadygotał kilkakrotnie, otworzył usta, jęknął. Nieświadomymi szarpnięciami (a wyglądało to, jakby martwy poćić mięsa miotał się pod uderzeniami prądu) usiłował się wyrwać, lecz pasy trzymały mocno. Kropelki śliny odrywały się od jego dziąseł i dryfowały w powietrzu ku najbliższemu otworowi wymiennika atmosfery.

Naraz zaczęła szaleć alfa, program analizujący pracę mózgu zapiszczał alarmem, wewnątrz i na zewnątrz zaślepu A dyżurnego medyka.

— Odciąć go! — krzyknął na firmowej linii Presławny.

Lekarz spojrział na wirtualne wykresy i włosy stanęły mu dęba.

— Musiałbym go wypłaszczyć! Osfan poszedł już potrójnie!

— Czekaj!

Mężczyzna w pomieszczeniu widocznym na zaledowanej ścianie przestał się już poruszać na łóżku, do którego był przypięty. Wszystko w nim gasło, obumierało: mózg, płuca, serce. Widać to było na ekranie, tym bardziej widział to medyk. Pacjent zapadał w głęboką komę. Ruszyła się nawet temperatura, choć na razie zaledwie o kilkanaście setnych.

Do dyżurki wszedł Presławny, jeszcze ścierał sobie ketchup z ust.

— Zapada się — mruknął, ledwo rzuciwszy okiem. — Jak bardzo możesz szarpnąć?

— Trzeciego straciliśmy na migotaniu, defibrylacja — grób.

— Ale on się, kurwa, zapada. Pełna szpryca!

Lekarz wydał w OVR polecenie.

— O mój Boże... — jęknął cicho pacjent, tym bardziej przejmująco, że zupełnie niespodziewanie; zazwyczaj nie mówili nic. Głośniki przekazały ten jęk do salki obserwacyjnej zwielokrotniony w decybelach i podbity ciemnym basem. Preslawny aż się wzdrygnął i zaraz wściekł na siebie za ów dreszcz, kompromitujący sygnał od słabeuszowatej duszy.

— Co, widzi już światelko w tunelu? — zazgrzytał.

— Pan spojrzysz na EEG.

Preslawny spojrzął i zwałił się bezwładnie na krzesło. Chciał się złapać za głowę, ale ręce zorientowały się w banale i opadły mu w pół gestu.

— Czwarty — westchnął, i to było epitafium dla katatonika z ekranu.

— Trzeba by powiadomić pana Hunta — zauważył beznamiętnym głosem wychodzący z półzaślepu doktor.

— Ano.

W Bostonie doktor Vassone (stały kontrakt profesorski na Uniwersytecie Bostońskim) kończyła właśnie śniadanie w hotelowej restauracji. Dziennikarz, z którym umówiła się tutaj na wywiad, odszedł już od stolika, zbyty standardowym pakietem kłamstw o przesadzonych plotkach i absurdalnych (tu puścić porozumiewawczo oko) zobowiązaniach podpisywanych przy okazji rządowych grantów: CNS i CAS, gdzie wyładała, były finansowane ze źródeł prywatnych zaledwie w kilku procentach. Mogła teraz całą uwagę poświęcić stygnącym potrawom.

Kelner oraz piszący na ledpadzie dwa stoliki dalej biznesmen widzieli wszystko bardzo dokładnie i złożyli później wyczerpujące zeznania.

Doktor Vassone upuściła filiżankę, rozległ się ostry grzechot — i to wtedy na nią spojrzeli.

Mrugała szybko, z oczu płynęły jej łzy. Dolną wargę przygryzła tak mocno, że pojawiły się na niej drobne krople krwi. Dłońmi zaczęła miać obrus, ściągając go tym samym ku sobie; zadzwoniła zastawa. Vassone westchnęła głośno. Szarpnęła głową, wisiorok z logo jurysdyktora uderzył ją w brodę. Wyraz jej twarzy zmienił się od strachu, przez cierpienie, do najgłębszej rozpacz. Załkała z głębi piersi. Prawą rękę uniosła i wyciągnęła w przód, ale ruchowi zabrakło zdecydowania

i palce nie sięgnęły celu, jakikolwiek on był. Zaraz zawróciły i, zgięte w szpony, uderzyły w policzek Vassone. Paznokcie wbiły się w skórę. Jęcząc, zaczęła rozdrapywać sobie twarz.

W tym momencie zareagował kelner. Podbiegł do Vassone i złapał ją za nadgarstki. Wrywała się. Wołając o lekarza, ruszył z kolei pomóc kelnerowi biznesmen. Wspólnymi siłami w końcu obezwładnili kobietę — ale też tak to właśnie wyglądało: brutalne obezwładnienie. Nie dało się uniknąć głośnej szamotaniny, zrzucenia na podłogę całej zastawy, zniszczenia marynarek mężczyzn i koszuli Vassone. Drapała na oślep, po sobie i po nich. Szerokie, krwawe bruzdy przydawały jej obliczu upiornego podobieństwa do indiańskich malunków wojennych.

— Co, co, no co się dzieje...? — szeptał do niej biznesmen.

— Moje dzieci, moje dzieci — jęczała, drżąc w ich rękach. I taki żal, taka rozpacz brzmiała w tym jęku, że obaj mimowolnie rozejrzeli się po sali za jakimiś dziećmi, ale akurat nie było żadnych.

— Co?

— Zabiłam je, zabiłam, mój Boże, zabiłam je oboje...

Pojawiło się więcej ludzi z obsługi, między innymi hotelowy lekarz — zabrali ją z głównej sali na zaplecze. Płakała na głos, gdy ją wlekli. Inni goście (choć o tej porze nie było ich tu wielu) półszepsem wymieniali między sobą uwagi. Cały hotel objęty był NETi i, komentując zdarzenie, odruchowo rozglądali się za poukrywanymi kamerami.

Przyjechała karetka i zabrano doktor Vassone do szpitala (nie znali kodu jej medykatora, nie miała medalarmu na cashchipie). Sanitariusze wcisnęły ją w kaftan bezpieczeństwa, chociaż przestała się już wrywać. Opatrzyli rany na jej twarzy. Miała także kilka złamanych paznokci i zdarty z przedramion naskórek. Obserwowali ją czujnie.

Marina Vassone, starannie wyrzeźbiona, pomimo czterdziestu siedmiu lat, zachowała sylwetkę modelki, cerę bez zmarszczek, oczy nastolatki — bladoniebieskie, bardzo zimne. Krótkie białe włosy zaczesane do tyłu. Zdecydowanie skandynawski typ urody.

Najpierw szeptała coś do siebie w obcym języku. Potem się uspokoiła, zrobiła kilka głębokich wdechów i przemówiła po angielsku do sanitariusza. Powtarzała w kółko jeden i ten sam numer telefonu, przekonując, grożąc i błagając, by natychmiast nań zadzwonił. Prosić pana Hunta. To ważne. Niech ruszy tyłek. Ale sanitariusz surfował na falach

muzyki płynącej z implantowanych mu pod kość czaszki rezonatorów, z pobłażliwym uśmiechem ignorował kobietę w kaftanie.

W szpitalu ściągnęli jej DNAM, skontaktowali się z miejscowym biurem medykatora, zrobili badania, dali jej kilka zastrzyków i odstawili na salę, przypiętą do łóżka bardzo szerokimi pasami. Tu znów ją dopadło. Pomimo chemicznego wytlumienia jęła wrzeszczeć, że jest morderczynią, że powinni ją wysłać na krzesło elektryczne, że palić się będzie w piekle, i tym podobne rzeczy.

Podwojono dawkę. Zasnęła.

Powiadomiona najbliższa (geograficznie) rodzina okazała się siedemnastoletnim synem. Co prawda nie był to już syn w sensie prawnym, bo kontrakt wychowawczy Vassone wygasł sześć lat temu i w rozumieniu Giddensonowego kodeksu rodzinnego nic już ich nie łączyło; niemniej dane zostały w rejestrach.

Przybył, cierpliwie czuwał przy niej i był tam też, gdy się ocknęła. Z miejsca wyrecytowała mu numer. Zadzwoń, zadzwoń, zadzwoń.

Zadzwoił.

— Mogę rozmawiać z panem Huntem?

Odezwiała się kobieta lub posługujący się kobiecym dialogantem program sekretaryjny.

— Kto mówi?

— Jas Vassone, dzwonię w imieniu mojej matki, to pilne, prosiła, żebym...

— Skąd pan ma ten numer?

— No przecież mówię, moja matka, doktor Marina S. Vassone, słyszy pani czy przeliterować, no więc ona leży w szpitalu i prosiła, żebym...

Zmiana po tamtej stronie.

— Tu Hunt. Co się stało?

— Trzymają ją w szpitalu, na oddziale psychiatrycznym, prosiła...

— Który to szpital?

Pół godziny po tej rozmowie przyjechało dwóch cywili wyglądających na przebranych w ostatniej chwili żołnierzy. Z miejsca wdali się w kłótnię z personelem. Ściągnięto prawników szpitala i medykatora. Strażnicy z pobliskich posterunków nie zdejmowali dłoni z kabur.

Jas przypatrywał się temu wszystkiemu z progu sali matki, niepewny, czy nie lepiej ukryć się przed wzrokiem tamtych. Brały w nim górę lęki dziecięce: może przyjdą i zabronią, może przegonią.

Gdy spojrzała nieco przytomniej, podszedł i pochylił się nad nią.

— Co się stało, mamó? Ty rzeczywiście jesteś chora?

— Dopadła mnie — szepnęła, zwilżywszy wargi. — Lepiej już stąd odejść.

— Ale...

— Proszę. Nie, nie jestem chora. Idź już.

Nie poszedł.

Tymczasem dwaj ponurzy cywile osiągnęli najwyraźniej jakieś porozumienie z władzami szpitala.

Zajęli posterunek opuszczony przez Jasa: w drzwiach sali.

— Teraz trzeba czekać — oznajmił jeden z nich. — Oby się tylko pospieszyli.

— Kto? — spytał Jas. — Kim wy jesteście?

Drugi mężczyzna uśmiechnął się.

— Co, filmów nie oglądasz? My jesteśmy z tego spisku rządowego, który stał za Roswell, zabójstwem Kennedy'ego i zanieczyszczeniem środowiska. Nie poznajesz garniturów?

— Ale mogę zostać?

— A co, wygania cię ktoś?

Tamci zapalili beznikotynowce. Stali pod ścianą i obserwowali. Doktor Vassone przepowiadała sobie półgłosem tabliczkę mnożenia, w tę i z powrotem, siedem razy osiem, siedem razy dziewięć, siedem razy dziesięć. Niespodziewanie jeden z pozostałych pacjentów zaczął wrzeszczeć po hiszpańsku, że jest potępiony i że diabeł już czeka na niego. Przyszła pielęgniarka, zmieniła program jego dozownika; wkrótce się uspokoił.

Dwóch w garniturach obserwowało to beznamiętnie.

Po ponad trzech godzinach przybyli ci, na których czekali owi pseudocywile. Jasowi opadła szczęka. Było to siedmiu mnichów buddyjskich, z wygolonymi czaszkami, w długich brązowych i pomarańczowych szatach, w sandałach i z jakimiś modlitewnymi przyrządami w dłoniach. Rozsiedli się dookoła łóżka doktor Vassone, po czym zamknęły oczy, znieruchomieli, prawie przestali oddychać.

— Dobra jest — mruknął jeden z agentów, gasząc swego papierosa. — Medytuj. Zawiadom Hunta — rzucił do partnera.

— Kim oni są? — zachnął się Jas. — O co tu chodzi?

— Nic się nie przejmuj — poklepał go po ramieniu drugi, unosząc do warg dłoń z telefonem. — To strażnicy. Twoja mama jest już bezpieczna.

McFly z ekipą już trzeci dzień koczował w tym domu. Budynek stał opuszczony od ponad dziesięciu lat i zmienił się przez ten czas w ponurą rudere. Stał na samym końcu miasteczka, dalej już tylko łąka, szosa i rozległe złomowisko, od którego wieczorami wiatr przynosił krwisty zapach rdzy.

Ekipa McFly'a składała się z dwóch mężczyzn i kobiety. Kobiętę zwerbowano dzięki ogłoszeniom na okultystycznej stronie WWW. Kazała się nazywać Madame Florence. W rzeczywistości była nierzeźbioną córką alkoholiczki z Alabamy, ledwo skończyła szkołę średnią i знаła góra dwadzieścia francuskich zwrotów, które zresztą niemiłosiernie kaleczyła swym drewnianym akcentem. Za plecami przezywali ją Klem-pą. Ona spała na piętrze, oni na parterze; to na piętrze popełniono wszystkie morderstwa.

Harcott, który w istocie był lekarzem wojskowym, odpowiadał za sprzęt: elektroniczny czepek, który Madame Florence zobligowana była nosić dwadzieścia cztery godziny na dobę, oraz dwie walizki wypełnione sprzętem z nim komputerami i ich peryferiami. McFly, de facto kierownik zespołu, „w cywilu” porucznik US Navy (kontrwywiad marynarki), utrzymywał łączność z Zespołem Hunta oraz zajmował się tak zwanym zabezpieczeniem terenu, i choć nie miał wiele do roboty, do pomocy dano mu jeszcze Vace'a. Vace jeździł do centrum miasteczka po zakupy. Wszyscy trzej byli smukłymi, dobrze zbudowanymi, dwumetrowymi blondynami o siwych oczach; ich poczęcie przypadło na okres największej popularności Franka di Mozzy.

Pierwszej nocy Madame Florence spała jak zabita, czuwający przy niej Harcott mało sam nie zasnął: wszystkie wykresy regularne, dane w środku przedziałów, nic wyjątkowego. Drugiej nocy pojawiły się pierwsze wychylenia. Potem, rankiem, gdy Harcott odsypiał swoje,

McFly nagrał relację ze snów Madame Florence: coś o morzu, i o kształtach w ciemności, i strachu bezosobowym, i pomieszczeniu, z którego nie można się wydostać. Wtedy, zgodnie z instrukcją, dał jej do przeczytania przygotowane przez jeden z wydziałów Zespołu Hunta streszczenie historii tego domu i jego mieszkańców, i ich zbrodni. W gwarze Zespołu lektura podobnych dzieł — a zwłaszcza studiowanie dołączonych zdjęć — nazywała się „przecieraniem łączy”.

I nocą po ich „przetarciu” nastąpił kontakt.

McFly’ a obudził pisk w uchu. Alarm. Vace też już się podnosił. Instrukcja zakazywała posiadania podczas operacji jakiegokolwiek broni, nie mieli nawet noży.

— Harcott, Harcott! — szeptał McFly do sygnetalnego mikrofonu Nokii. — Zgłoś się, do cholery! Co tam się dzieje?

Ale cisza. McFly machnął na Vace’a. Schody. Wnętrze budynku tonęło w mroku. Założyli okulary noktowizyjne. Zapłonął chropowaty monochrom. Na piętrze trzeszczała podłoga. Kroki? Czyje? Wsłuchiwali się przez chwilę. Z zewnątrz budynku szedł niski szum budzącej się burzy, grzechot ciskanych po podwórzu śmieci. Znowu trzaski.

McFly machnął w kierunku schodów. Ruszyli skokami, wzajemnie się ubezpieczając — z braku broni palnej, w bardzo bliskiej odległości. Robactwo uciekało im spod stóp. W holu nikogo. Przez strzaskany witraż naddrzwiowy wieje deszczem; zapach nocy, zapach burzy, ozon na falach zimnego powietrza. McFly pokazał: ja pierwszy.

Wspinał się tuż przy balustradzie, nie opierając się o poręcz. Mimo wszystko kilka stopni stęknęło pod nim i pod Vace’em. W korytarzu na piętrze też spokój. Drzwi sypialni Madame Florence uchylone, ciemność zza nich. Zaczęli nasłuchiwać oddechów, szmerów poruszeń — ale burza wszystko głuszyła.

McFly znowu pokazał: ja. Przyskoczył do drzwi, kucnął, zajrzał. Krew załała mu oczy, uderzenie przewróciło go na plecy, spadły okulary. Cięcie przez pół głowy piekło jak jasna cholera. Usiłował się odturlać w bok, jednocześnie macając się po czaszce, ale w szoku pomylił strony i wtoczył się Vace’owi pod nogi. Vace chciał go przeskoczyć — uderzył w pchnięte przez Madame Florence drzwi. Wypadła z krzywym zębem ułamanej szyby w dłoni, ze szkła skapywała krew McFly’ a.

— Rzuć to! — krzyknął odskakujący w tył Vace.

— Co się dzieje, co się dzieje...?! — pytał rozpaczliwie McFly, przecierając rękawem zalane czerwienią okulary.

— Rzuć to!

Ale Madame Florence tylko uniosła szklany nóż wyżej. Czepek z elektrodami przekrzywił się jej na głowie, włosy wystawały spodeń na wszystkie strony. Na twarzy i na szlafroku miała plamy, które Vace postrzegał przez noktowizor kleksami głębokiej czerni, lecz przecież wiedział, czym są w rzeczywistości.

— Harcott...?! Harcott, na miłość boską...?!

Doktor nie odpowiadał.

Klempa rzuciła się na Vace'a, porucznik uskokzył.

Tymczasem McFly podniósł się na nogi. Lewą ręką ścierał i strzepywał krew z czoła, prawą pokazał Vace'owi zza pleców Madame Florence: złapię ją od tyłu. Raz, dwa, trzy.

Skoczyli równocześnie. W tym momencie rąbnął gdzieś bardzo blisko piorun, McFly'a oślepiło, wpadł na Vace'a. Klempa zawyla, zamachała szkłem. Vace złapał się za brzuch. McFly z zaciśniętymi powiekami postąpił kilka kroków wstecz. Od upływu krwi zaczynało mu się już kręcić w głowie.

— Na dół, Vace, wezwij pomoc!

— Jeeeeezuu, rozpruła mnie...

— Vace!

McFly uniósł powieki. Madame Florence biegła na niego z wzniezionym zębem brudnego szkła, usta miała wykrzywione w jakiś dziki grymas, oczy wybałuszone. McFly trzasnął ją kantem stopy w krtań, poprawił w kolano, złapał za prawą rękę, złamał, wytrącił z dłoni łańcuch szyby. Nieprzytomną kobietę złożył na podłodze. Potem musiał się oprzeć o ścianę, ćmiło mu wzrok. Ktoś płakał. McFly ruszył z powrotem ku schodom. Tu, pod drzwiami sypialni, leżał Vace z jelitami na wierzchu. Obejmował je trzęsącymi się straszliwie rękami, łzy płynęły mu z oczu. McFly spojrzał do wnętrza sypialni. Na poduszce leżała odcięta głowa Harcotta. Nogi ugięły się pod MacFly'em, klęknął obok Vace'a, który zaczynał już tracić dech. Machinalnie pogłaskał go po twarzy.

— Mój Boże, co to jest, co tu się dzieje, no horror dla ubogich...

Oczywiście nie był to wahadłowiec w ubiegłowiecznym rozumieniu tego słowa — choć pełnił tę samą funkcję — lecz po prostu samolot orbitalny trwale przystosowany do wysokich tras, grubo powyżej pułapu koniecznego dla zawiśnięcia ponad obracającym się globem podczas zwykłych transkontynentalnych lotów pasażerskich. Od godziny gotował się do startu na pasie sąsiadującym z tym, na którym stał teraz boeing, którym przyleciał Czarny.

Podjechali limuzynami pod same schodki, załadowali Czarne do tylnej kabiny, przypięli do fotela.

Wraz z nim leciał odpowiednio przeszkolony sanitariusz. Nazywał się Timothy Flowers. Posiadał on już niejakie doświadczenie w tej pracy. W rzeczy samej obsługiwał trasę od samego początku.

Kręcąc głową, przeczytał rozkaz, jak zwykle maksymalnie zwięzły. W tym samym locie „JFK” zabierze na dół Numer 4. Widać też nie wytrzymał długo.

Skontrolowawszy stan jedyne go poza nim pasażera (mężczyzna był nieprzytomny), Flowers usiadł z westchnieniem na swoim miejscu.

Czarny ocknął się kilka minut po starcie. Nie było już teraz potrzeby faszeringowania go środkami nasennymi, a Flowers nie wyczytał w rozkazie takiego zalecenia. Znał procedurę i był przyzwyczajony, więc tylko sprawdził puls Czarne i zajął mu w oczy. Wiedział, że nie musi niczego tłumaczyć.

— Co stało się Czartemu? — spytał go Czarny.

— Nie wiem — odparł Flowers. Nie było rozkazu utrzymywania tajemnicy przed wynoszonymi. — Śpiączka jakaś. Zawsze to samo. Ściągamy ich z powrotem do Nowego Jorku.

— Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, Tim.

— Dziękuję.

— Możesz mi dać coś do przepłukania gardła?

— Oczywiście. Proszę.

Ręce miał Czarny przymocowane rzepami do poręczy fotela, lecz podany przez Flowersa pojemnik z sokiem pomarańczowym zawiśł usłużnie przed jego twarzą. Byli już na orbicie.

Flowers obserwował pacjenta kątem oka (siedzieli w fotelach po dwóch stronach przejścia, za przepierzeniem oddzielającym kabinę pilotów). Rzeźbiony, nierzeźbiony, Flowers nie potrafił zdecydować.

Zazwyczaj byli to ewidentni nierzeźbieni. I zazwyczaj absolutnie spokojni. Jak ten: nic już nie mówił, nic nie robił, aż do przycumowania do Labu 13.

Bo inni mówili, robili — i po części nawet myśleli — za niego; jak zawsze. Timothy Flowers, który miał się nim opiekować, wypełniał swe zadanie samą swą obecnością.

Numer 5, Numer 5 — tak widział go Flowers, taką etykietą sobie opowiadał. I Czarny automatycznie też zaczął się tak postrzegać: piąty z kolei posyłany do orbitalnego eremu, na stracenie, na komę, na śmierć umysłu. I widział się również anonimowym pasażerem, ludzkim cargo — w oczach pary pilotów „JFK”. Jakieś małe zamieszanie w ich dookolnych asocjacjach: pierwotnie mieli go dostarczyć do Labu 9, potem nagle zmieniono destynację. Czarny bez problemu połączył dane z krążących po głowach pilotów i sanitariusza skojarzeń: to z powodu nagłej zapaści Numeru 4. Zwalnia się Lab 13 i tam mnie od razu zainstalują. (Trzynaście, feralna liczba).

Porwali go, wystrzelili w kosmos, zostawiają samego w blaszanej puszcze otoczonej śmiertelną próżnią — czy się bał? Ależ to wszystko były zamierzenia i działania ludzi, żadna tam klęska żywiołowa, żadna złośliwość natury. A jakże bać się ludzi? Rozpacz — owszem; czarna depresja — jak najbardziej; ale — strach? W istocie nie opuszczało Czarnego delikatne zadziwienie, rodzaj małostkowej ciekawości: spojrzysz tu, spojrzysz tam, poczekaj, zastanowi się... Lubił być zaskakiwany.

Po przycumowaniu i wyrównaniu ciśnień Flowers odpiął się i popłynął do wjazdu Labu 13. Czarny oglądał jego oczyma wnętrze habitatu, przypatrywał się pogrążonemu w śpiączce Numerowi 4. Z wyglądu — przeciętny dzikus.

Flowers bardzo ostrożnie odpinał od śpiącego całe medyczne oprzyrządowanie, którym był on opleciony, wyciągał z żył igły, odrywał plastry.

Numer 4 — skonstatował Czarny — sam musiał na siebie to wszystko pozakładać, samemu opiąć sobie ciało owym instrumentarium zdalnej tortury. Nikogo innego wszak tu nie było.

Przeciętny mężczyzna. Śpi? Nawet nie to. Bije odeń cisza spokojnego morza, szmer fali: drobnych i powolnych jak letnia bryza na jeziorze. Odszedł, nie ma go tu.

Flowers przeciągnął bezwładne ciało do środkowej kabiny samolotu. Nogi Czwórki były związane, ręce przymocowane do tułowia, sanitariusz operował ciałem nieprzytomnego niczym plastyczną kukłą. Usadził je, zabezpieczył, podpiął do czujników samolotu.

Potem wrócił do Czarnego. Wyjął i załadował injektor. Czarny wciąż był przytwierdzony do fotela elastycznymi pasami.

— Taka procedura — mruknął doń Flowers, raczej bezmyślnie, bo z pewnością nie była to próba usprawiedliwienia się. — Mógłbyś się rzucić, a tu wszystko delikatne, lepiej nie ryzykować rozróby w zero gie. Na chwilę zaśniesz, przeniosę cię spokojnie do labu.

— Wiem.

Flowers odbezpieczył injektor, spojrzał przelotnie Czarnemu w oczy.

— Wiem, że wiesz. Wy zawsze wiecie.

Zapraszamy do zakupu pełnej wersji książki
na www.wydawnictoliterackie.pl